

ISTVAN VIZVARY VIVO



1.

Wiedziony przedśmiertnym instynktem Alskopp, król smoków Drumloftu, leciał na zachód, ku horyzontowi. Powoli opadał już z sił i z trudem utrzymywał wysokość, był jednak zdecydowany zakończyć królewskie życie z godnością, w powietrzu, nie zaś w zębach rekinów. Pogrążony w modlitwie do przodków, wpatrywał się w czerń oceanu lśniąca odbiciami złotych gwiazd.

W chwili gdy w jego piersi wybuchł płomień, pomyślał, że to strzała. Zapewne podążano jego tropem, aby teraz, kiedy nie ma już sił, by się bronić, wyrównać jakieś stare, doczesne rachunki. Jakież to ludzkie. Jakie małe.

W końcu zrozumiał, że to nie atak. Właśnie ostatni raz nabrał oddechu.

Głęboko w dole zapłonęły barwne światła. Niebo zasnuło się gęstymi chmurami.

Skrzydła, niegdyś potężne, a teraz bezsilne, furkotały żałośnie, poddając się pędowi powietrza.

„To już”, pomyślał. „Czas na ostatnią prośbę”.

Do gasnącej świadomości dotarł jeszcze ostry, nieznanym zapach i widok wysokich, błyszczących lustrami murów. „Oto królestwo powietrza i wiatru. Obym okazał się godny waszej gościnności, o przodkowie!”.

Śpieszący właśnie do domu Leslie Tuxington był pewien, że to olbrzymi ptak spada z przestworzy. Od chwili, kiedy światła miasta wydobyły kształt z ciemności nocy, do ciężkiego uderzenia o bruk minęły nie więcej niż trzy sekundy.

– Co to, kurwa, było? – szepnął. – Kondor?

– Nie potrafię zidentyfikować, ale kondory są dużo mniejsze – odpowiedział mu prosto do ucha asystent osobisty. – Mam wezwać muchy reporterskie? Wstępna wycena relacji osobistej to tysiąc euro.

– Jasne! Na co w ogóle czekasz? – warknął Tuxington i ruszył w kierunku cielska, które bezwładnie zaległo na jezdni Tottenham Court Road. – Szkoda, że nie spadło na jakiś samochód, ale i tak najważniejsze, że jesteście pierwsi.

Kiedy zbliżył się na jakieś piętnaście kroków, zamarł.

Na głaśfalcie leżał smok, dokładnie taki sam jak w Drumlofcie. Błoniaste skrzydła, paszcza pełna zębów, fioletowy język wielkości dorosłego człowieka. Uderzenie o ziemię musiało złamać kark stworzenia, łeb bowiem przekreślony był względem spoczywającego na grzbiecie ciała pod wyjątkowo nieprzyjemnym kątem i rosła wokół niego czarna plama połyskliwej cieczy.

„Jeśli to podróbka, ktoś się naprawdę przyłożył”, pomyślał Tuxington. „Tak czy inaczej, mogę podejść i dotknąć tego czegoś. Raczej mnie nie ugryzie, a tysiąc euro piechotą nie chodzi”.

Wziął głęboki oddech i podszedł do cielska, otoczony rojem reporterskich much przybyłych na wezwanie asystenta.

Cuchnęło. Jak w pawilonie tygrysów, tylko dużo ostrzej. I cierpko, jakby ktoś wylał kwas na jezdnię.

Zamknął oczy i wyciągnął dłoń.

Skóra była ciepła i sucha. Szorstka.

„Jak prawdziwy. To niemożliwe”.

– Trochę wyżej! – powiedział ktoś ostrym, rozkazującym tonem. – I nie tak mocno!

Wystraszony Tuxington otworzył oczy.

– Tylko nie to! – jęknął. – Moje tysiąc euro!

Rozejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł. Głos musiał dochodzić zza cielska.

Ostrożnie, żeby nie pośliznąć się w czarnej kałuży, obszedł łeb smoka. Ujrzał dwoje ludzi zajętych rozcinaniem brzucha bestii. Facet i dziewczyna – on koło pięćdziesiątki, ona dużo młodsza. W rękach trzymali przedmioty wyglądające na prymitywne noże. Pomiędzy nimi stał towarowy wózek.

– Co tu robicie, do jasnej cholery?! – krzyknął Tuxington.

Nie odpowiedziałwszy nawet słowem, wrócili do swojego zajęcia.

„Czyżby obcokrajowcy?”, pomyślał. „A przecież mówili po angielsku!”.

Wściekły, z sercem tłukącym się w piersi, ruszył dziarskim krokiem ku obcym.

– To mój smok! Miałem dostać za relację tysiąc euro! – wrzasnął dziewczynie prosto do ucha. – Nie rozumiecie?

Spojrzała na niego.

W pierwszej chwili zignorował błysk i charakterystyczny śwąd palonej elektroniki. Jednak kiedy dziewczyna zaczęła mruczeć rytmicznie niezrozumiałe słowa, wpatrując się w jego oczy, zrozumiał, że ma do czynienia z wariatami. Właśnie unieszkodliwili tkankę w promieniu kilkudziesięciu metrów, niszcząc przy okazji wszyst-

kie muchy reporterskie i trzmiele monitorujące. Te jego również. Został sam na sam z dwójką obcokrajowców, w środku nocy, bez ani jednej kamery, z której obraz mógłby zaalarmować policję lub choćby wścibskiego sąsiada.

– Arma tertutsi gwen! – wrzasnęła dziewczyna i wypchnęła przed siebie uzbrojoną w kamienne narzędzie rękę. Tuxington poczuł gorący ból rozlewający się po brzuchu. Otworzył usta do krzyku, wydobył się z nich jednak jedynie suchy kaszel.

– Spieprzyłś! – warknął mężczyzna. – Pośpiesz się, musimy przynajmniej uratować wątrobę!

Nogi ugięły się pod Tuxingtonem. Zachwiał się i osunął na gładfalt. Oparty o cielsko smoka, z trudem chwytając boleśnie płytkie oddechy, patrzył, jak dwójka szaleńców odrzuca na bok olbrzymi płat skóry, rozcina błyszczące mięśnie, a w końcu wydobywa coś wyglądającego jak kurcząca wątróbka powiększona do rozmiarów krowy. Dłużyło się to wszystko w wypełnioną bólem, mroczną nieskończoność. Co jakiś czas rozjaśniała ją tylko myśl, że jeśli dotąd nie pojawiły się służby odpowiedzialne za naprawę tkanki, nie mogło upłynąć chyba więcej niż kilka minut. Być może i jego uratują.

– Odcinaj ostatnią! – zakomenderował mężczyzna i z obrzydliwym mlaśnięciem wątroba opadła na wózek. – Mamy jeszcze minutę.

Dziewczyna rzuciła się biegiem w dół ulicy i chwilę później tuż obok Tuxingtona zaparkował furgon z otwartymi już drzwiami ładowni.

– Zostawiamy go tak? – zapytała dziewczyna, przypinając wózek do haka wciągarki.

– Nie ma mowy, widział nas – padła odpowiedź. –
Na pakę go!

Tuxington zamknął oczy. Nie zamierzali darować mu życia.

„Gdzie jest policja, kiedy jej naprawdę potrzeba?”, pomyślał zaskakująco trzeźwo. „Gdzie są cholerne gliny?”.

Silne ręce chwyciły go pod pachami. Delikatny zapach perfum podpowiedział mu, że to dziewczyna wciąga go do furgonu. Poczuł ścianę pod plecami i drzwi ładowni zamknęły się.

Otoczył go odstręczający, żelazisty odór.

„Jakby ktoś rozlał beczkę krwi”, pomyślał i zapadł się w ciemność.

2.

Diana Whitmore była w dziewiątym niebie, zupełnie jak w piosence Johna Lennona.

– Jesteś najlepszym kochankiem na świecie, John – szepnęła, gdy w końcu złapała oddech.

Lennon uśmiechnął się, nic jednak nie powiedział. Przytulił ją tylko mocniej, dalej pozostając wewnątrz. Tak jak lubiła.

Tak jak kochała.

– Napisałeś dla mnie coś nowego? – spytała, kiedy już siedzieli owinięci w białe, grube szlafroki na tarasie jej domu w Greenwich. – Ponoć to najgorętszy kwiecień od dwa tysiące pięćdziesiątego drugiego. I znów ma nie padać.

– Jestem aż tak stary? – jęknął z teatralną rozpaczą Lennon. – Oczywiście, że napisałem. Chcesz posłuchać?

Skinęła głową, choć w głębi była rozdarta. Do odjazdu zostało już tylko pół godziny i chętnie zaciągnęłaby go z powrotem do łóżka lub nawet zrobiła to tutaj, na tarasie. Jednak piosenek też potrzebowała. Dźwięczały jej potem w głowie, śniły się po samotnych nocach i da-

wały siłę w chwilach, gdy była zdana wyłącznie na siebie.
Były namiastką Johna.

*I had some problems lately
I saw a shrink today
But I just can't believe in
The things he had to say*

*He's said it was enough
To really want to heal
But still I can't believe
The number on the bill¹*

Słuchała z zamkniętymi oczami i wyobrażała sobie, że odjeżdżają razem. Wsiadają w samolot, jadą do jego mieszkania w Nowym Jorku i już nigdy, przenigdy się nie rozstają. John ma dla niej codziennie nową piosenkę, a każda rozwiązuje jakiś jej problem. Jak teraz, kiedy magicznie odgadł, że nosiła się z zamiarem pójścia do psychiatry. Nie chciała obarczać go takimi błahostkami, a przecież i tak się domyślił.

Ostatni akord zlał się w jedno z grzmotem samolotu, który przekraczał barierę dźwięku gdzieś nad ujściem Tamizy. Kiedy wybrzmiał, policzki Diany były mokre od łez.

– Musisz jechać? – spytała, nie odwracając się do Lennona.

¹ *Problemy mam ostatnio/ Z lekarzem więc od głowy/ Spotkałem się, by dał mi/ Na życie pogląd nowy
Z sensem powiedział tylko/ Że starczy mocno chcieć/ Wziął za to tyle kasy/
Jak gdybym zmieniał płęć (tłum. autora).*

– Wrócę za tydzień, obiecuję.

– Dziękuję za piosenki. I za wszystko inne też – szepnęła i otworzyła oczy.

Jej prawdziwy dom w Greenwich wyglądał dokładnie tak samo, jak ten odtworzony w świecie vivo. Nawet rośliny rosły w nim takie same, żeby jak najmniej uwagi poświęcała detalom. Chciała się skupić na Lennonie. Wyłącznie na nim.

Wstała z fotela vivo i poszła do łazienki.

– Czy w rzeczywistości też jestem tak kiczowato łoża jak tam? Już wolałabym raczej wyglądać tak samo. Nie taka stara raszpla – powiedziała, zrzucając z siebie biały szlafrok, identyczny jak ten, w którym jej sobotwórka jeszcze przed chwilą siedziała z Johnem Lenno-nem. – Nie uważasz, że lewa trochę opada?

– Pierś? – spytał asystent. – Obie są w doskonałej formie, ale mogę zamówić ekspresowe reno, jeśli sobie życzysz.

– Chyba życzę. – Diana uniosła ręce nad głowę. – Ale nie ograniczaj się do cycków, wszystko trochę podciągnijmy.

– Umówić cię na siódmą rano? Jest wtedy promocja w twoim ulubionym salonie.

– Ile?

– Trzyście procent.

– Niech się wypchają. Na dwunastą. Z wybielaniem! I zadzwoń po Karola, kiedy skończę się myć! – poleciła.

– Jaka kąpiel? Pobudzająca? – upewnił się asystent.

– Tak, potrzebuję na chwilę przestać myśleć o Johnie. Bathory gotów pomyśleć, że to przez niego mam taki głos.

Stała w strugach wody z kulturami myjącymi i oddychała głęboko. Im bardziej próbowała nie myśleć o Johnie, tym intensywniej o nim myślała. I z coraz większym trudem powstrzymywała prośbę o odegranie z powrotem całego ostatniego spotkania.

– Kurwa! – wrzasnęła w końcu. – Nie mów mi, że naprawdę jestem uzależniona!

Asystent nie odpowiedział, tylko zmniejszył temperaturę wody. Diana pisnęła, ale posłusznie poddała się doraźnej terapii, zaciskając zęby i pięści. Mięśnie krzyczały, napięte w proteście przeciwko bolesnemu zimnu.

Gorący nawiew włączył się dokładnie w chwili, kiedy miało zabraknąć jej cierpliwości.

– Skąd wiesz, kiedy przestać? – spytała asystenta. – Jeszcze sekunda i zaczęłabym wrzeszczeć.

– Obserwuję napięcie mięśni mimicznych. Wytlumaczyć dokładniej?

Machnęła ręką.

– Co z Bathorym? – zapytała, przechodząc do garderoby.

– Myślałem, że chcesz się najpierw ubrać.

– Dobrze myślałeś, ale i tak nie włączaj wizji – odparła, przeglądając ubrania w poszukiwaniu zielonego kostiumu, który drukowała nie dalej niż trzy dni wcześniej.

Minutę później była gotowa.

Usiadła na kanapie i dała asystentowi sygnał ręką. Karol Bathory odebrał niemal natychmiast.

– Dzień dobry, Diano! Jak tam twoje spotkanie?

– Skończone, niestety – odpowiedziała. – Ale muszę cię pochwalić. Piosenki Johna wpasowały się idealnie w ostatnie tematy.

– Staram się, jak mogę.

– Wyślij mi tamte trzy, które u mnie zaśpiewał – poleciła Diana, ignorując przymilny ton Bathorego. – I nasze powitanie, ale to już do ramki w sypialni.

– Tylko piosenki i jeden obraz?

Niemal zobaczyła lepki uśmiech Bathorego.

– Po co pytasz? – warknęła zirytowana. – Masz mnie za narkomankę?

– Skąd! Tylko się upewniam. Twój związek z Lenonem z pewnością nie należy do tych zagrożonych uzależnieniem.

– Daruj sobie pochlebstwa. A teraz posłuchaj: chcę, żebyś nakierował Johna na Japonię.

– Dokąd ma polecieć? Jakies konkretne miasto? Region?

– Nie, nie. Żadnych lotów. Ostatnio zaczęłam zbierać trochę różnych rzeczy. Obrazki, figurki. Chcę, żeby on też to robił.

– Japońskie rzeczy?

Przytaknęła bezgłośnie.

– Diana?

– Tak, japońskie. Zapomniałam, że nie jesteśmy na wizji. „I nie uśmiechaj się tak”, dodała w myślach. „Jestem ubrana, jak zawsze”.

– Chcesz mieć z nim wspólne hobby, tak? – zapytał Bathory. – Temat rozmów. I piosenek.

– Mniej więcej.

– Może jednak wołałabyś, żeby tam poleciał i osobiście przywiózł ci jakieś pamiątki? Wiesz, kupione z myślą o tobie. Może skrobnąłby przy okazji jakieś ciekawe piosenki?

„Tak, doskonały impresario zna nie tylko swojego artystę, ale i klienta”, pomyślała. „Szkoda, że musi być przy tym obleśny”.

– Niech będzie – westchnęła po dłuższej chwili udawanego namysłu. – Tylko biznesem: pamiętaj, że John ma sto dwadzieścia lat.

– Jasne. Za pół godziny może lecieć z Londynu. Rodman by go odwiózł, też jedzie na Heathrow.

– Rodman? – zdziwiła się Diana. – Terapeuta z Sydney? Zresztą nieważne. I jeszcze jedno: piosenek się nie skrobie, tylko komponuje. To Lennon, nie jakiś wirtualny śpiewaczyna.

– Przepraszam, masz rację.

– Wiem. Do usłyszenia.

Asystent posłusznie rozłączył rozmowę.

– Daj znać, jak będą już piosenki – poleciła mu Diana. – I od razu włącz tę o rozstaniu.

Wyszła na werandę i usiadła na fotelu, takim samym, w jakim pół godziny wcześniej siedziała w innym świecie z Johnem Lennonem inna Diana Whitmore. Ta piękniejsza, bystrzejsza i przede wszystkim szczęśliwsza. Albo po prostu szczęśliwa.

– Jak ja ci, suko, zazdroszczę! Tak naprawdę cię nie ma, ale masz wszystko. Ja jestem, ale mam tylko siebie. Co za cholerna bzdura!

Daleko nad ujściem Tamizy samolot przekraczał barierę dźwięku.

Kiedy grzmot wybrzmiał do końca, policzki Diany były mokre od łez.

3.

Leslie Tuxington umierał już dziesiątą godzinę. Cały ten czas trwała u jego boku Zoe, dziewczyna, która pchnęła go nożem.

– Powinien dawno nie żyć. Prawda, Stan? – spytała, wpatrując się w pokrytą grubymi kroplami potu twarz swojej ofiary.

Mężczyzna stojący przy oknie ledwo dostrzegalnie kiwnął głową. Patrzył na zieloną papugę, siedzącą na gałęzi wysokiej jukki.

– Tak myślę – powiedział cicho.

– To przez Alskoppa? Przez duszę?

Wzruszył ramionami.

– Trzeba by go zbadać – powiedział. – Jeśli tylko uszkodziłaś mu przeponę, może pewnie umierać kilka dni i Alskopp nie ma z tym nic wspólnego. Jeśli przebiłaś opłucną, to już dawno powinien umrzeć. Wtedy gorzej.

Odwrócił się i spojrzał na dziewczynę.

– Bardziej martwi mnie, że mogliśmy ominąć w pośpiechu jakieś drobne płaty. – Wskazał odległy róg salonu. Pod wysoką kryształową kopułą spoczywała wątroba,

którą dziesięć godzin wcześniej wycięli z ciała Alskoppa, króla smoków Drumloftu. Brunatna, miejscami tylko różowiejąca masa wydzielala błękitny opar, skraplający się na wewnętrznej ścianie kopuły i spływający w dół gęstymi, drobnymi kroplami.

– Co wtedy?

– Nie mam pojęcia. Kiedykolwiek w Drumlofcie zdarzyło się rozdzielenie wątroby, fragmenty duszy próbowały się połączyć.

– Myślisz, że kiedy przyjdzie do siebie, będzie próbował zniszczyć kopułę? Na nożu mogły być krople płynu. Jakaś część duszy mogła w niego wnikać.

– Bardziej martwię się o to, co mogło tam zostać. Na Tottenham Court – odpowiedział Stan. – Sprawdzisz, co tam nasi kochani vivaro?

Zoe klasnęła dwa razy i ściana projekcyjna rozjarzyła się złotawym blaskiem.

– Pokaż Tintina! – poleciła.

Na podłogę salonu, wyglądającą teraz jak gładki, zstąpił mocno posiwiały Afrofondyńczyk w fioletowej, połyskliwej marynarce.

– To, co państwo widzą, to zwłoki króla smoków przeniesione tutaj prosto z Drumloftu! – krzyknął, posyłając w powietrze mgiełkę śliny i wskazując za siebie. Spoczywało tam ciało Alskoppa, pozbawione większości skóry i mięsa. Splątane jelita rozlewały się po jezdni połyskującymi, śliskimi zwojami. – Oficjalne rządowe stanowisko to mieszanina majaczeń o gigabiodruku, spisku anty-rojalistów i prowokacji neoluddystów. Wiemy jednak na podstawie badań w niezależnych laboratoriach, że

tkanki nie zostały wyprodukowane w żadnej ze znanych technologii. W moim ulu informacyjnym umieściłem już raport o nieznanym aminokwasach w strukturze białkowej oraz o kwasach tłuszczowych niespotykanych w żywej tkance naszego świata. Co najważniejsze, w ciele Alskoppa nie ma nawet śladów DNA. Czy można prosić o lepszy...

– Prosimy państwa o rozejście się i nieutrudnianie pracy służbom! – przerwał mu wzmocniony megafoonami kobiecy głos.

Pomiędzy Tintina a pozostałości ciała Alskoppa wpłynęła nieduża platforma, podobna do tych, jakimi zwykły posługiwać się służby ratunkowe w czasie większych imprez. Stała na niej wysoka, chuda kobieta o absurdalnie szerokich biodrach i długich czarnych włosach. W rękach trzymała coś brunatnego i połyskującego wilgotno.

– To wątroba? – zapytała Zoe.

– Tak, na pewno. Przypatrz się fałdom sukni.

Czarną, matową materię pokrywały opalizujące błękitem plamy.

– To Jennifer Wren, komendantka policji Londynu – wyjaśnił asystent Stana.

– Prosimy nie poddawać się prowokacjom wicherzycieli! – krzyczała Wren. – Znalezisko nie nosi żadnych znamion pozaziemskości! Udowodnię państwu!

Z tymi słowami wgryzła się w wątrobę.

Żuła przez chwilę i przełknęła z wyraźnym zadowoleniem.

– To po prostu wołowina. – Głos policjantki poniosł się echem po ulicy i salonie. – Ustaliliśmy już, że

instalacja jest dziełem jednej z firm mięsnych z okręgu Leeds. Winni zakłóceniu porządku zostaną pociągnięci do odpowiedzialności, ale nie zmienia to faktu, że tak naprawdę mamy do czynienia z dziwacznie wyglądającą krową.

Tintin, na którego napierała platforma Wren, odsunął się na chodnik. Transmisja została przerwana.

– Muszę to sobie jakoś wszystko podsumować – stwierdził Stan. – Wren zjadła wątrobę i jest prawdopodobne, że wkrótce będziemy ją mieli na karku, bo dusza będzie próbowała się połączyć w całość. Musimy zatem przygotować się do przeprowadzenia rytuału czterech ziół. Jeśli policjantka nie uspokoiła ludzi swoim popisem, miasto będzie w stanie co najmniej lekkiego niepokoju, co tylko nam pomoże. Zamieszki byłyby jeszcze lepsze. Dodatkowo możemy się też spodziewać jakichś zakłóceń w innych vivo, spowodowanych transferem tak wielkiej masy. To też może odciągnąć od nas uwagę.

– Może się też okazać, że akurat ta część wątroby, którą przegapiliśmy, była bez znaczenia – stwierdziła dziewczyna.

– Wątpliwe, lecz i tak mogło się zdarzyć. Musimy obserwować kolor płynu na ściankach i przygotować się do zdobycia ziół. A jeszcze wcześniej znaleźć lekarza, żeby zbadał Tuxingtona. Sam nie wiem, co jest trudniejsze. Zwłaszcza że musimy się spieszyć.

Stan pogrzążył się w milczeniu, drapiąc się nerwowo po uchu. Dziewczyna wiedziała, że oznacza to intensywne rozmyślanie nad jakimś niezupełnie legalnym pomysłem.

– Będę potrzebował twojej pomocy – stwierdził w końcu.

– Co mam zrobić?

– Spróbuję ściągnąć na naszą ulicę najbliższy samochód z lekarzem na pokładzie. Mężczyzną. Ty przekonasz go, żeby obejrzał Tuxingtona.

– Na pewno rozpozna, że biedak leży tak od dziesięciu godzin.

– Znaleźliśmy go.

– Sam się pchnął?

– Nie sam. Jakiś bandyta. Wymyślisz coś, jesteś w tym dobra. Ja muszę poszukać samochodu z kimś odpowiednim. Chwilę mi to zajmie, zwłaszcza jeśli nie będzie chciał przyjechać tu po dobroci.

4.

Taksówka z Lennonem ruszyła, gdy tylko Diana zniknęła za furtką swojego domu w Greenwich. Oprócz piosenkarza w pojeździe siedział też jego przyjaciel Mark Rodman, psychiatra.

– Twoja dziewczyna wyglądała, jakby bała się, że już nie wrócisz. Żegnaliście się chyba z kwadrans – stwierdził. – Byłem pewien, że będzie machać chusteczką, dopóki nie znikniemy za zakrętem.

– Nie ma mowy. Diana to godność wcielona – zaśmiał się Lennon. – Po prostu nie lubi, jak latam.

– No tak, Tokio to właściwie już na Księżycu.

Lennon spojrzał uważnie na przyjaciela.

– Może ma wyrzuty sumienia – powiedział, otwierając lodówkę. – Gdyby samolot spadł, byłoby na nią. W końcu to ona mnie zaraziła. Cały dom ma w tych ich obrazkach tuszem. Drzeworyty, staloryty, bambusoryty. I wszędzie to bonsai. Chcesz piwa?

Rodman wyciągnął rękę po butelkę.

Zanim zdążył ją odkręcić, taksówka zakołysała się i stanęła.

– Awaria podwozia i lewego reflektora – oznajmił szofer głosem radosnego imbecyla.

Rodman westchnął.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał, wyglądając przez okno. Otaczały ich domy przypominające ten Diany Whitmore, tylko znacznie mniejsze.

– W Greenwich – odparł szofer. – Dwadzieścia osiem koma trzy kilometra od celu podróży, proszę pana. Zamówić panom pojazd zastępczy?

– Pieszo raczej nie zdążymy przed odlotem – stwierdził Lennon. – Zamów, a my tymczasem rozprostujemy kości. Podróżujemy już trzy minuty i zdążyliśmy nielicho zdrętwieć.

Wysiedli.

Lennon oparł się o taksówkę i zapalił papierosa. Rodman zagapił się na pokryty żółtymi kwiatami krzak.

– Mamy w Australii podobne – stwierdził. – Też takie paskudne.

– Czy pan jest lekarzem? – zapytał krzak dziewczęcym głosem.

Rodman zeszytywniał i rozejrzał się podejrzliwie.

– Mark, krzew cię o coś pytał – powiedział Lennon. – Odpowiedz. Może potrzebuje porady.

– John, na miłość... – jęknął psychiatra.

– Martwisz się, że mówią do ciebie krzaki? Kiedyś rozmawialiśmy z windą, wiesz, Ringo i reszta bandy. Utknęliśmy po drodze na imprezę.

Rodman machnął tylko ręką. Nigdy nie potrafił rozpoznać, która z historii o Beatlesach jest prawdziwa, a które Anglik zmyśla na poczekaniu.

– Pojazd zastępczy podjedzie za cztery minuty, panie Rodman – oznajmił szofer. – Do tej pory mogę zaofiarować panom drinki na koszt kompanii.

– A jednak to pan jest Markiem Rodmanem! Lekarzem! – wrzasnął krzak i zatrzęsł się. Wyskoczyła z niego niewysoka dziewczyna. – Pilnie potrzebujemy pana pomocy.

– Kto?

– Ja i mój chłopak. – Wyciągnęła rękę w kierunku krzaka.

– No tak, chyba rzeczywiście będziesz mógł pomóc – stwierdził Lennon. – Jak nazywacie w lekarskiej łacinie przekonanie, że jest się partnerką odrażającego krzaka?

– Tam w domu jest mój chłopak! – krzyknęła dziewczyna. – Dusi się. Naprawdę potrzebujemy pomocy!

– Leć już! – powiedział Lennon. – Popilnuję ci walizki.

– Błagam! – Dziewczyna złapała Rodmana za rękaw. Pobiegli.

Skręciła w pierwszą furtkę po lewej, Rodman za nią.

Wyłożona granitowymi płytami ścieżka wiodła do drzwi dwupiętrowego domu, ale poszli trawnikiem na tył budynku.

W altanie, zajmującej większą część obsadzonego wysokimi jukkami i cyprysami ogrodu, leżał blady mężczyzna ze sporą czerwoną plamą na koszuli. Obok niego stał niewysoki człowiek w garniturze.

– Jestem lekarzem – powiedział Rodman, pochylając się nad rannym. – Jest panu zimno?

Mężczyzna nie zareagował.

Rodman rozpiął jego koszulę i próbował skupić się na choćby pobieżnej diagnozie, jednak rozpraszały go obawy, że przyjdzie mu słono zapłacić za australijską

prostoduszność. Poniżej żeber skóra mężczyzny rozstępowała się w gładkim nacięciu, ukazując błyszczącą jamę otrzewnej, również rozciętą, tak samo zresztą jak gruby mięsień przepony i płuco ponad nim. Rana była niemal czysta, jakby doskonale ją skauteryzowano. „Czyściutko, zupełnie jak preparat anatomiczny”, pomyślał.

– Ledwo oddycha, ale nie ma krwotoku – stwierdził w końcu. – To pewnie odma albo coś w tym rodzaju.

– To nie wie pan? – spytał mężczyzna w garniturze.

– Jestem psychiatrą. Internę miałem na pierwszym i drugim roku studiów.

– Ale może mu pan pomóc?

– Niestety, zostawiłem cały zapas xenodepresyny w domu.

– Pytam poważnie.

– Mówię poważnie – powiedział Rodman. – Proszę najpierw powiedzieć mi, co tu się dzieje. Spróbuję pomyśleć, co jestem w stanie zrobić.

– Jasne – powiedział mężczyzna. – Nazywam się Stan Odolsky. Jestem profesorem afrykanistyki.

– W tej kwestii na szybko nie pomogę. Skupmy się na problemach rannego.

Odolsky zarumienił się.

– Został pchnięty rytualnym nożem – powiedział. – Jakies dziesięć godzin temu.

– To jakiś afrykański obrzęd? – zapytał Lennon, który postawiwszy walizki na trawniku, przysłuchiwał się rozmowie.

– To rytuał błagalny z Drumloftu.

– U nas, w Nowym Jorku, rytuał błagalny z użyciem noża nazywamy zdecydowanym żądaniem – stwierdził

Lennon. – Mam tylko nadzieję, że zapamiętali państwo rysopis napastnika. Swoją drogą, policja w Nowym Jorku zawsze wręcza drobne upominki naocznym świadkom. To bardzo miły zwyczaj.

Rodman nie odzywał się, patrzył tylko na rannego mężczyznę, który jakimś cudem żył od dziesięciu godzin, choć dawno już powinien być martwy.

– To ja go pchnęłam – szepnęła dziewczyna, spuszczać oczy.

– Zoe, moja partnerka naukowa – przedstawił ją Odolsky. – Proszę jej pochopnie nie osądzać. Usiłowała przebłagać duszę Alskoppa, smoka z Drumloftu, który dziś rano wylądował i umarł na ulicy Tottenham Court w Londynie. Wycięliśmy z Zoe jego wątrobę.

– Wątrobę tego afrykańskiego smoka, tak? – zapytał Rodman. Przypomniawszy sobie właśnie, jak leczy się odme otwartą, i zastanawiając się, jak długo będzie trwało drukowanie opatrunku Ashermana, a potem sterylizacja.

– Wątroba jest siedliskiem duszy smoków z Drumloftu, proszę pana – odpowiedział Odolsky. – Według moich teorii, a teraz już także badań praktycznych, również w Londynie. Wie pan, jakie mogą być skutki nieopanowania gniewu przez duszę smoka?

– Widziałem kiedyś kilka wkurwionych krokodyli, ale to pewnie nie to samo.

– O ile skutkiem ich irytacji nie był wybuch podobny do termojądrowego, rzeczywiście nie bardzo można to porównywać.

– Krokodyle potrafią wybuchnąć, jeśli poleżą trochę martwe w upale. Jeśli rozbryzg trafi w oko, grozi to botulizmem i śmiercią.

– Ja mówię serio, panie Rodman – powiedział Odolsky.

– Ja również – odparł Rodman. – Potrzebuję waszej drukarki. Spróbuję skonstruować opatrunek Ashermana tak, żeby nie wyglądał jak opatrunek Ashermana. Może dzięki temu nikt nie domysli się, że trzymacie tu rannego człowieka, zamiast oddać go do szpitala, a siebie w ręce wymiaru sprawiedliwości. I jeszcze prosba: w razie gdybyście i mnie zamierzali potraktować rytualnym nożem, prosiłbym o bardziej precyzyjne cięcie. Wolałbym nie dusić się godzinami przed śmiercią, jak ten nieszczęśnik.

– On umrze? – Zoe zdawała się szczerze zmartwiona.

– Mam nadzieję, że nie. Postaram się mu pomóc.

– Proszę za mną – zakomenderował Odolsky, ruszając w kierunku domu. – Zoe, zostań z panem Tuxingtonem!

Kiedy weszli do kuchni, wskazał na konsolę drukarki.

– Proszę bardzo.

Rodman przez dłuższą chwilę przeszukiwał spis materiałów, a potem wybrał do druku plastry samoprzylepne, trzy kółka zębate, grubą folię, siedemdziesiąt kuleczek z tworzywa, gumową kaczuszkę wysokości dwóch cali i pizzę quattro formaggi.

– Potrzebne są nawet kółka zębate? – zdziwił się Odolsky.

– Nie, pizza też nie. Ważne są plastry i folia. Kulki i kółka dla zmylenia Wielkiego Brata.

– A kaczuszka?

– Kupuję zawsze jedną na wakacjach na lotnisku, rozdaj pamiątki. Mam już siedemdziesiąt trzy. Tym razem nie zdążyłem kupić żadnej, bo ktoś porwał moją tak-sówkę, dlatego jestem zmuszony nadużyć gościnności i poczęstować się proszkiem do drukarek. Padło na pana.

Kiedy do niszy wpadły plastry i folia, Rodman zabrał je i umieścił w sterylizatorze do naczyń.

– Nie zamówiłem jałowych, żeby nikt tam – wskazał bliżej nieokreślony kierunek – nie pomyślał przypadkiem, że zakładamy tutaj komuś pieczęć Ashermana.

– To nielegalne? – zdziwił się Odolsky.

– Sam opatrunek pewnie nie, ale ukrywanie jego potrzeby jest co najmniej podejrzane.

Odolsky nie odpowiedział, tylko podał mu kaczuszkę. Była jeszcze ciepła.

– Pizza będzie zaraz – dodał, spoglądając na panel drukarki. – Za trzy minuty.

– Dziękuję. A co to?

– Pana kaczuszka – odparł Odolsky, zdziwiony.

– Mam na myśli tamten wielki kawał mięsa pod kloszem – wyjaśnił Rodman, wskazując w głąb salonu. – Musi być tego ze trzysta funtów.

– Dwieście. To właśnie wątroba Alskoppa.

– Kruszeje?

– Destyluje się. Na wnętrzu kryształowej kopuły osiada błękitny płyn, nośnik duszy. Skraplając się, spływa do zbiorniczka, w którym przetrzymamy go tak długo, aż się utleni i dusza nie będzie już mogła się z nim wiązać. Według naszej wiedzy przestanie wtedy być niebezpieczna.

– I Londyn będzie uratowany. To pizza? – zapytał Rodman, słysząc melodyjny dźwięk, który rozbrzmiał w kuchni.

– Nie.

– No trudno. – Psychiatra umył ręce i sięgnął do sterylizatora po folię i plastry. – Oby nie ostygła do czasu, kiedy skończę pracować.

Wolał na razie nie zastanawiać się, jak stąd uciekną.

5.

Odkąd ojciec Lizy Trommer zmartwychwstał, widywał się z córką co najmniej raz w tygodniu. Najczęściej u niego, w posiadłości Forever pod Londynem, czasami zaś w jej domu, który odwzorowano w vivo równie dokładnie, co cały Londyn. Nie były to spotkania przepelnione czułością czy głębokim zrozumieniem, raczej błahymi pogawędkami. W ankietach ewaluacyjnych domu spokojnej starości Forever Liza niezmiennie powtarzała, że stosunki z ojcem poprawiły się od czasu jego zamieszkania tam.

„Nareszcie”, dodawała w myślach. „Szkoda, że dopiero po jego śmierci”.

Teraz, w autobusie, który dziesięć minut temu miał dowieźć ją na Tottenham Court, a tylko wisiał w korku, wspominała ostatnie spotkanie z ojcem. Nie odżywała wizyty z zapisów vivo, tylko zwyczajnie odtwarzała w pamięci. Łąkę nad brzegiem Tamizy, kanapki przyzykowane przez panie z kuchni, pensjonariuszki Rodezji, sąsiedniego domu, które machały im ze swoich łodzi wiosłowych.

– Zastanawiam się nad przeniesieniem się do ciebie – powiedziała, kiedy wstawali z trawy i składali koc. – Jeszcze nie dziś, ale wkrótce.

– Czyżbyś była zmęczona tym całym krawiectwem? – W głosie ojca nie było nawet cienia złośliwości, co nie przestawało jej dziwić. Od dwudziestu dwóch lat i trzech miesięcy, odkąd pierwszy raz odezwał się do niej w Forever.

– Mam coraz mniej klientów – odparła. – Ludzie wolą drukować ubrania. Dla mnie zostają wyłącznie zwariowani staruszkowie. I fetyszyści. Mało pieniędzy, satysfakcji jeszcze mniej.

– Jeśli będziemy mieli osobne pokoje, nie powinniśmy się zagryźć. – Ucałował ją na pożegnanie. – Choć wydaje mi się, że mimo wszystko za wcześnie na ciebie. Jesteś jeszcze młoda.

Patrzyła za nim, jak odchodził z koszem piknikowym w jednym ręku i kocem w drugim. Hans Trommer, lat dziewięćdziesiąt dwa, licząc od dnia narodzin. Albo dwadzieścia dwa, jeśli od zmartwychwstania. Lub siedemdziesiąt, jak w chwili śmierci, biorąc pod uwagę, że nie wyglądał, jakby postarzał się choć o jeden dzień.

– Proszę państwa, będziemy lądować przed stacją końcową. – Z zamyślenia wyrwał Lizę aksamitny głos pokładowego asystenta. – Policja zdecydowała się nie udostępniać przestrzeni nad Tottenham Court przez najbliższą godzinę. Prosimy o nieodpinanie pasów aż do otwarcia drzwi.

Liza westchnęła i wyjrzała przez okno. Opadali. Jakies pięćdziesiąt metrów od nich na ulicy leżał olbrzymi krokodyl, zdeformowany w niepokojący, niezrozumiały

sposób. Unosiły się nad nim roje reporterskich trzmieli i much. Policyjne drony zawisły dyskretnie na skraju parku, przyglądając się tłumkowi gapiów, który zgromadził się wokół niecodziennego, nawet jak na Londyn, zjawiska. Wewnątrz odgradzonej taśmą przestrzeni uwiłali się ludzie w kombinezonach.

– Co tam się dzieje? – Liza spytała swojego asystenta, odwracając wzrok. Czasami nie rozumiała tego miasta.

– Służby miejskie przygotowują się do usunięcia nielegalnej bioinstalacji. Nitroalgi drukowane na kalcifeksach.

– Rzeźba krokodyla?

– Można tak powiedzieć – przyznał. – Chociaż deamentowane wiadomości spekulują o smoku z Drumloftu.

– Drumloft? Co to? – Zdążyli opaść na tyle nisko, że krokodyla nie było już widać zza innych zmuszonych do lądowania pojazdów.

– Popularny rozrywkowy świat vivo, zaludniony nie tylko przez ludzi, ale też istoty w rodzaju smoków i krasnoludów.

Liza wzruszyła ramionami. Z trudem przyszło jej zaakceptować samo istnienie vivo wraz z pomysłem, żeby traktować osoby tam żyjące jak prawdziwe. Pomysł drukowania na londyńskich ulicach rzeźb smoków wydawał się nawet niewart drugiej myśli.

– Ile czasu zajmie mi droga? – spytała asystenta, wyśiadając.

– Dwadzieścia minut, nie musisz się spieszyć. Poprowadzić cię?

– Dam sobie radę. Prosto i potem w prawo, tak?

Nie odezwał się, czyli miała rację. Chodnik zawężono do połowy jarzącą się zielono taśmą, zaś kilku policjan-

tów przy pomocy trzmieli pilnowało, żeby gapie stali w wyznaczonych miejscach na jezdni, nie tamując ruchu pieszych. Liza szła szybko, zdecydowana nie poświęcić rzeźbie nawet jednego spojrzenia.

Do odwrócenia głowy zmusiło ją uczucie bycia obserwowaną. Przez chwilę walczyła z odruchem, w końcu jednak spojrzała z miną, którą przybierała zwykle w odpowiedzi na zaczepki nachalnych wielbicieli pełnych kształtów.

Spodziewała się któregoś z mężczyzn w kombinezonach, jednak nie był to żaden z nich. Z olbrzymiej głowy patrzyło na nią oko, wielkie niczym koło terenowego samochodu. Zimne, błękitne, jak u kota. I matowe, jak u łososia, którego dawno, dawno temu widziała na straganie. Z pewnością nie mogło należeć do krokodyla, nawet gigantycznego.

– Nitroalgi są żywe, prawda? – spytała asystenta, przyspieszając kroku.

– Tak. To zmodyfikowane genetycznie sinice. Twórca: James Dwight. Powiedzieć więcej?

– Nie, nie.

„Po prostu to oko wygląda zupełnie jak żywe”, pomyślała. „W każdym razie niedawno żywe”.

Pierwszy klient, którego spodziewała się tego dnia, nazywał się Alfred Ulver. Jego poprzedni krawiec przeniósł się ostatnio do Forever, musiał więc znaleźć kogoś nowego.

Asystent Lizy wywiedział się trochę o tego Ulvera. Wizytówka twierdziła, że jest „tradycyjnym psychiatrą, zajmującym się osobami, które nie ufają nowym, bezdusznym technologiom, a potrzebują uleczyć duszę

z problemów trapiących wszystkich przywiązanych do starego, dobrego świata”.

– To raczej ja powinnam być jego klientką – zażartowała Liza, słuchając sprawozdania.

– Nie pasujesz do towarzystwa – odparł asystent. – Najczęściej to dystyngowane, zasuszone panie po setce. Czasem dobrze po setce. Wystawiają mu same doskonałe opinie. „Zawsze w idealnie skrojonym surducie, godny następca doktora Freuda”, zdaniem Trudy Malone, lat sto trzy. „Żaden asystent nie rozumie mnie tak, jak doktor Ulver”, to jakaś Lena Tromp, sto osiem. „Przemiły, dystyngowany fachowiec w starym, dobrym stylu”, według niejakej Adele, lat zaledwie siedemdziesiąt siedem.

– Gówniara – skwitowała Liza, mrużąc oko. – Potwierdź wizytę tego Ulvera. Mam nadzieję, że nie okaże się kolejnym wariatem.

W urnie zaufania psychiatry nie było żadnych czarnych kulek, znalazło się nawet kilka błękitnych. „Ale ja mam więcej”, z zadowoleniem skonstatowała Liza.

Nigdy wcześniej nie szyła surduta, dlatego przygotowała się solidnie, szukając wzorów i przygotowując wykroje.

Kiedy wchodziła do pracowni, była dziesiąta.

„Zdążę się jeszcze napić herbaty”, pomyślała, zdejmując i odwieszając płaszcz.

Zdążyła wypić nawet dwie. Klient spóźnił się ponad godzinę.

– Nawet nie wiem, jak panią przepraszać! – krzyknął w progu, zanim jeszcze zdążyła się zorientować, kim jest mężczyzna w staroświeckim płaszczu. „Poprawiłabym kołnierz”, pomyślała.

– Profesor Ulver? – spytała, odstawiając filiżankę na biurko.

– To właśnie ja. Cóż za przerażające wydarzenia spotykają w tych czasach to piękne miasto! Niech pani sobie wyobrazi, że zostałem wciągnięty w uliczną burdę! Ledwo zdołałem się wyrwać! Samo doprowadzenie się do porządku zajęło mi ponad pół godziny. Gdybym chociaż miał pewność, że nie czuć już ode mnie podrobów!

Nie miała pojęcia, o czym mężczyzna mówi, i zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Wypadało porozmawiać chwilę przed przejściem do interesów, jak jednak wypytywać dystyngowanego profesora psychiatrii o przyczyny, dla których miałby śmierdzieć podrobami? Kto w tych czasach w ogóle zna takie słowa? Widywała już szalonych staruszków, ale profesor nie wyglądał nawet na swoje siedemdziesiąt lat.

– Otóż, droga pani – kontynuował – z mojego mieszkania do pani pracowni idzie się ulicą Tottenham Court, której część zamknięto dziś z okazji jakiegoś performansu. Grupa anarchistów umieściła tam pod osłoną nocy olbrzymich rozmiarów figurę smoka albo może innego mitycznego stworzenia. Na jezdni! Czy mógłbym poprosić herbaty?

Kiwnęła tylko głową, aby nie wybić go z rytmu. Jego monolog miał szansę zastąpić błahą pogawędkę, niezbędną zwykle przed przejściem do właściwych spraw.

– Akurat kiedy przechodziłem obok, jakaś grupką młokosów, z pewnością jeszcze przed pięćdziesiątką, przełamała policyjne bariery i rzuciła się ciąc zwierzaka na części. Przez wyłom w kordonie przedostawali się

następní i tak to szło. Ja miałem nieszczęście znaleźć się na drodze tej tłuszczy. Jestem wprawdzie sprawny fizycznie, ale przez dobre dziesięć minut nie mogłem przebić się poprzez rozszalały tłum.

Podawała mu filiżankę, usiłując przypomnieć sobie, czy cokolwiek oprócz policyjnej taśmy oddzielało tłumek na Tottenham Court od rzeźby smoka.

– Gdybym jednak był tylko poobijany! Zanim zdążyłem choćby otrzepać się z kurzu i brudu, zaczął się odwrót! Ta sama hołota, która wcześniej nieomal zbiła mnie z nóg, teraz naparła w przeciwnym kierunku, uciekając z trofeami. Każdy ścisnął przy piersi wielki kawał mięsa. Niektórym udało się dopaść jakichś odrażających gruczołów. Ten jeden, który przewrócił się wprost pod moimi nogami, wepchnął mi w ręce kawał wątroby. Pochlapał mi garnitur, zaś koszula nadawała się tylko do wyrzucenia! Musiałem wrócić do domu i przebrać się! Zresztą to już chyba pani mówiłem.

Ulver wychylił duszkiem zawartość filiżanki i głęboko odetchnął.

– Dzień dobry – powiedział, rozglądając się z zadowoleniem po pracowni. – Chyba znalazłem w pani bratnią duszę.

„Czyli jednak wariat”, westchnęła Liza. „Dobrze, że przynajmniej nieszkodliwy”.

Zabrała się do pracy.

Vivo
Copyright © Istvan Vizvary
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Robert RajszczaK
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.

druk ISBN 978-83-7995-122-2
epub ISBN 978-83-7995-123-9
mobi ISBN 978-83-7995-124-6

Redakcja: Anna Kańtoch
Korekta: dr Marta Kładź-Kocot
Ilustracja i projekt okładki: Robert RajszczaK
Skład i typografia: Marcin A. Dobkowski | www.proAutor.pl
Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl





PĘTLE PAMIĘCI MARCIN KOWALCZYK

Vermil Olson pragnie zostać pisarzem. Niestety, nie ma ani odrobiny talentu. Korzysta więc ze zlepiacza narracyjnego: urządzenia, które potrafi wydestylować fabułę wprost z mózgu „autora”. Szybko okazuje się jednak, że jego pisanie to coś więcej niż tylko zaspokojenie potrzeby tworzenia. W powstającej powieści podświadomość Vermila ukrywa bowiem informacje, które mogą uratować mu życie.

„Pętle pamięci” łączą klasyczne fantasy z science fiction, tworząc zaskakujący koktajl sensów i reinterpretacji, prowadzący do niespodziewanego finału.

Pasja i twórczość często idą w parze. Jak w tańcu. Ważne jednak, by nie zmylić kroku, podążać za muzyką słów. Marcin Kowalczyk z pewnością ma i talent, i pasję, które doskonale ze sobą współgrają. „Pętle pamięci” to książka pełna niespodzianek. Lekki styl, humor i wciągająca historia sprawiają, że po tę powieść naprawdę warto sięgnąć. – Ahsan Ridha Hassan, autor „Trupojada i dziewczyny” i współautor (z Januszem L. Wiśniewskim) „Eksplozji”

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/petle-pamieci-marcin-kowalczyk/>

fobia

Dawid Kain



FOBIA DAWID KAIN

Bliska przyszłość, w której ludzie zasłoniли sobie świat nakładkami nowej sieci – Immersjonetu. Żyją w gigantycznych kompleksach mieszkalnych, z całodobową obsługą dronów i botów.

Magdalena Kordowa musiała porzucić studia i znajomych, by zaopiekować się ojcem – pisarzem, który postradał zmysły w pogoni za arcydziełem. Ten pewnego dnia zniknął, zostawiając po sobie jedynie ostatnią powieść, „Kres Komunikacji” skrywającą wskazówki dotyczące swojej niewytłumaczalnej ucieczki.

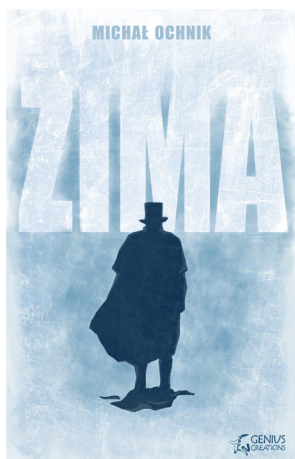
„Czy Magda rozwiąże zagadkę i odnajdzie ojca mimo obezwładniającego ją lęku? Fobia to zaskakująca powieść, w której z każdą kolejną stroną treść kształtuje formę i na odwrót. Kain nie potrzebuje reklamy, wystarczy, że po raz kolejny udowadnia, że jego wyobrażenia nie zna granic.”

Aleksandra Zielińska, autorka powieści „Przypadek Alicji”

„Literatura ciężka jak neuroleptyk, Polska pod rządami bestii i pudełko pełne niczego. Trzymacie w swoich rękach ważną książkę. Jest dowodem na to, że przekraczanie gatunkowych ram to jedyna droga, by nazwać czern przelewającą się w środku, a przynajmniej – spróbować to zrobić. Bo mierzyć się z lękiem przed nicością i nie zwariować, nie upaść w nicość, to przecież prawie niemożliwe.”

Cezary Zbierchowski, autor „Requiem dla lalek” i „Holocaustu F”

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/fobia-dawid-kain/>



ZIMA MICHAŁ OCHNIK

Do Vadeline, sennej miejscowości zagubionej gdzieś na rubieżach świata Zimy, przybywa młody teatrolog, Victor Caillou. Poszukuje zaginionych sztuk Samuela Zimmermana, genialnego, acz szalonego dramaturga. Wierzy, że znajdzie w nich zaszyfrowane wskazówki, jak unicestwić Białą Królową – tajemniczą nieśmiertelną istotę, która od dwustu lat bezwzględnie panuje nad całym światem.

„Zima” to nastrojowa opowieść o prostych ludziach. O małych i wielkich radościach oraz idących z nimi w parze tragediach. O walce prowadzonej zarówno słowem, jak i mieczem. O poszukiwaniach utraconej tożsamości. O sztuce, która uwalnia ze szponów strachu. O drodze, która często ważniejsza jest od celu.

„Jeżeli w ogarniętym terrorem Białej Królowej świecie Zimy pozostała jeszcze jakaś magia, to jest to z pewnością magia teatru, która potrafi stopić najtwardszy nawet lód serca. Michał Ochnik snuje fascynującą opowieść o sztuce, marzeniach, strachu i ludzkiej obojętności, umiejętnie wplatając baśniowe wątki do ponurego obrazu rzeczywistości bezwzględnej dyktatury. Równie niecodzienny jak świat Zimy jest główny bohater – Victor Caillou, ekscentryczny młody teatrolog, oszust, marzyciel i szaleniec, którego życiowa pasja może przechylić szalę zwycięstwa na korzyść rewolucjonistów albo ostatecznie ich pogrążyć.” – Maria Zdybska, autorka „Wyspy mgieł”

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/zima-michal-ochnik/>



CZAROWNICA ZNAD KAŁUŻY ARTUR OLCHOWY

Świat sprzed wojny, która zdziesiątkowała ludzkość, pamięta już tylko Kośława – stara zielarka mieszkająca nieopodal mazurskiego Okartowa. Przeczuwając zbliżającą się śmierć, przyjmuje na ucznia syna miejscowego gospodarza, by przekazać mu całą swą wiedzę.

Tymczasem do wsi przybywa nowy wikariusz. Realizując swoją szczególną misję, burzy ustalony ład okartowskiej społeczności.

W walce o małą ojczyznę i jej mieszkańców Czarownicy przyjdzie zmierzyć się nie tylko z bezwzględnymi i niekiedy szalonymi ludźmi, lecz także z własną starością, chorobą i sumieniem.

„Przed wami niesamowita książka autora, którego naprawdę warto zapamiętać. Szczerze polecam!” – **Robert J. Szmidt**, autor „Samotności Anioła Zagłady”, „Łatwo być bogiem” i „Ucieczki z raj”

„Proza Olchowego to proza specyficzna. Jeśli szukacie literatury stricte rozrywkowej, to „Czarownica...” jak i inne produkcje Artura nie jest dla was. Rozrywkę tam bowiem znajdziecie, ale doprawioną przyprawami, które niekoniecznie zniesie co słabsza czytelnicza głowa.”
– **Marcin Podlewski**, autor cyklu „Głębia”

I TOM OPowieści ZNAD KAŁUŻY

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/czarownica-znad-kaluzy-artur-olchowy/>



NOC KOTA, DZIEŃ SOWY:
ZAMEK CIENI
MARTA KŁADŹ-KOCOT

W Castelburgu, bogatym portowym mieście, władzę przejmuje makiaweliczny Książę, a wygnani arystokraci zakładają Bractwo i z pomocą niejakiego Dionisiusa Grandiniego próbują obalić tyrana. W Emain Avallach, siedzibie magów, niepozorny bibliotekarz zostaje skazany na śmierć, a para kochanków wygnana. W odległym...

Zatrzymajmy się przy parze kochanków. Opowieści o wielkiej miłości mają zawsze wyjątkową moc. Wiedzą o tym Przadki, więc kiedy na ich oczach rodzi się taka opowieść, uważnie ją obserwują. Siadźmy więc cicho i patrzmy, jak splecą historię Mitrii i Jardala, dwojga czarodziejów, którzy pokochali się, łamiąc tym samym prastare prawo. Udajmy się z nimi w podróż w poszukiwaniu siebie samych i siebie nawzajem.

Wytyście słuch! Nocą usłyszycie stąpanie miękkich kocich łap, a w dzień prawie bezszelestne bicie sowych skrzydeł.

„Najpierw pomyślałam, że to historia o miłości, a pomysł na główny wątek jest czarujący i niebanalny. Potem doszłam do wniosku, że to jednak będzie opowieść o magii i politycznej intrydze. Następnie wpadło mi do głowy, że wszystkie drogi prowadzą do pewnego miasta i będzie to historia jego przemian. Jeszcze później dotarło do mnie, że i miasto, i bohaterowie dążą do wolności. Ta powieść ma wiele poziomów, wiele znaczeń i wciąż się zmienia, wciąga i fascynuje. Z każdą odwróconą stroną zapadałam się w nią bardziej, ciekawo, czym jeszcze mnie zaskoczy.” – **Marta Krajewska**, dwukrotnie nominowana do nagrody Janusza A. Zajdla

I TOM NOCY KOTA, DNIA SOWY

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/noc-kota-dzien-sowy-zamek-cieni-marta-kladz-kocot/>



TROPICIEL MAŁGORZATA LISIŃSKA

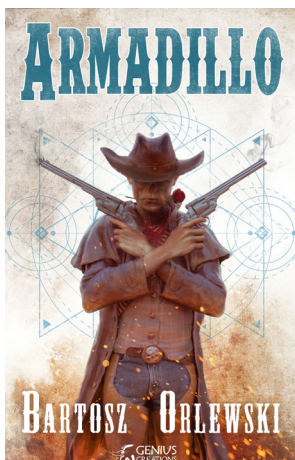
Sodi Yudherthardere, dla przyjaciół i ludzi z problemami wymowy po prostu Sodi, to krasnoludzki Tropiciel ze słabością do kobiet, alkoholu, złota, bijatyk i magii (dosłowną). U boku Yasy (najpotężniejszego żyjącego maga) i Likal (seksownej, potężnej i kompletnie nim niezainteresowanej uczennicy maga) wyrusza w podróż po Krajinie, a w drodze przeważnie cierpi na migrenę. Niczym bohaterowie bajek, tylko zupełnie inaczej, ta trójka stawia czoła wyzwaniom godnym herosów.

Książka dla czytelnika dorosłego lub posiadającego certyfikat znajomości łaciny podwórkowej!

„Mistrz Haxerlin i Thuz z miejsca polubili Sodiego. Idealny towarzysz podróży, bazarz, mitoman i drań w ich stylu!” – **Jacek Wróbel**, autor serii „Haxerlin”

I TOM BAJEK KRASNOLUDÓW

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/tropiciel-malgorzata-lisinska/>



ARMADILLO BARTOSZ ORLEWSKI

Do Armadillo przyjechali tak jak przysłało na Dzikim Zachodzie: w samo południe, z rewolwerami w dłoniach, by obrabować bank. Niestety, nic nie poszło zgodnie z planem. Zginęli, a miasteczko zostało przeklęte. Dla czterech z nich był to prawdziwy koniec, ale dla Toma dopiero początek.

Sto lat później klątwa zaczyna słabnąć, a Tom, strażnik Armadillo, wreszcie poznaje prawdę o tajemniczym magu-bankierze, odpowiedzialnym za

śmierć przyjaciół i jego własny parszywy los.

Jednak w Armadillo prawda nie wyzwala, nie uszlachetnia... zmienia jedynie kajdany na okowy i z deszczu lądujesz prosto w gównoburzy!

Witajcie w Armadillo!

„Western, horror, groteska i bohater z ogniem zamiast oczu... Książka Bartosza Orlewskiego to pozycja dla tych, którzy lubią szaleńczy slalom między literackimi gatunkami, w stylu jak najbardziej dowolnym.” – Dawid Kain, autor powieści „Kotku, jestem w ogniu” i „Fobia”

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/armadillo-bartosz-orlewski/>

MARCIN A. GUZEK



KOMANDORIA 54
SZARE PŁASZCZE

KOMANDORIA 54 MARCIN A. GUZEK

Na rubieżach upadającego Imperium, w dowodzonej przez Olafa Komandorii 54, stacjonuje grupa nowicjuszy Zakonu Szarej Straży. Ten mały i niedoświadczony oddział ma za zadanie egzekwować prawo i zapewnić osadnikom bezpieczeństwo. Nie będzie to jednak proste.

Na pograniczu schronienia szukają adepci zakazanych sztuk, przestępcy i zbiegli niewolnicy. Granicę przekraczają dzikie plemiona, a w łupieżczych wyprawach towarzyszą im potężni szamani i nadprzyrodzone istoty. Imperium wystawia przeciwko nim nie grupę rycerzy w lśniących zbrojach, a niedoświadczonych rekrutów pod wodzą zgorzkniałego weterana. Czy to może się skończyć inaczej niż pożogą i zgłiszczami, płaczem ocalałych i lamentem wziętych w niewolę?

„Przyjemny mariaż historycznej wiedzy autora z fabularną lekkością, przyprawiony ostrymi żeleźcami toporów i świstem strzał. W sam raz by umilić deszczowe popołudnie.” - Jacek Łukawski, autor „Krew i stal” i „Grom i szkwał”

PIERWSZY TOM SZARYCH PŁASZCZY

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/szare-plaszcze-komandoria-54-marcin-a-guzek/>